płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31. VII. 1987 | 14

BIBL. WSP
Akc./C

Fot. Stanisław Syndoman

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Przecież ja się już raz dziś kąpałem!

— Proszę bardzo, mogę się wykąpać, ale po co brudzić taką czystą wodę?

— Zaraz wrócę, tylko mnie mama wykąpie!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

AUSTRIACKA firma „ZT BITUMEN" wyprodukowała nowy rodzaj asfaltu, który pochłania znaczną część hałasu wytwarzanego przez przejeżdżające pojazdy.

Asfalt powoduje takie obniżenie szumu, jak gdyby liczba przejeżdżających samochodów zmniejszyła się o połowę, bądź zredukowały one swą prędkość o 25 proc.

Inną cenną właściwością nowego asfaltu jest to, że pochłania on wodę i na szosie, nawet podczas największego deszczu, nie powstają kałuże, a w zimie nie tworzy się gładź lodowa.

●

LASY w Polsce zajmują ponad 8 milionów hektarów. Średnio na jednego mieszkańca przypada u nas 1/4 ha lasu. Najbogatsze w lasy jest woj. koszalińskie, a najuboższe — katowickie. Toteż tam najbardziej ceni się „zielone leśne płuca".

●

ZWYKŁE brązowe wodorosty z głębin Morza Północnego znalazły nowe zastosowanie — będą użyte do produkcji najlepszych na świecie opatrunków.

Opatrunki takie wyrabia brytyjska firma „Britcair". Technologia jest dość prosta: wodorosty suszy się, a potem uciera na proszek, a następnie tworzy z niego tkaninę podobną do papieru.

Plaster taki jest 4 razy chłonniejszy niż bawełniany, a ponadto zwiększa krzepliwość krwi. Przyłożony do rany tworzy wiążący żel i przyspiesza gojenie.

●

JEZIORO Mers na Antarktydzie pokryte jest 6-metrową warstwą lodu. Pod tą pokrywą lodową na głębokości 15—18 m stwierdzono istnienie cieplejszych warstw wody, w której żyje 30 różnych gatunków wodorostów dotychczas nie spotykanych na Antarktydzie.

●

NAJWIĘKSZY na świecie teleskop będzie zainstalowany w Stanach Zjednoczonych, na górze Grahama, na wysokości 3 tys. m n.p.m.

Teleskop składać się będzie z dwóch zwierciadeł o średnicy 8 metrów każde. Największe z istniejących dotychczas teleskopów mają średnicę zwierciadła od 3,5 do 6 m.

Teleskop nazwano „Krzysztof Kolumb", a jego budowa zostanie ukończona w 1992 r., w 500 rocznicę odkrycia Ameryki przez Kolumba.

Nasza okładka:

To właśnie żołnierze dali nam wolność

OJCZYZNA

Łabędzie szyje zbóż
ciężkie mącznymi kłosami
kłaniają się Tobie w pokórze.

Dzikie gęsi na niebie
rysują klucz wiolinowy
do Twego serca.

Jaszczurka zielonym warkoczem
oplata polny kamień
na Twojej drodze.

Na skraju łąki
wrastam
jak brzoza białogrzywa
w polską ziemię...

Renata Opala
Rys. Teresa Jaskierny

WYCIECZKA

Zaraz po żniwach mama uprosiła tatusia, żeby ją na trzy dni zwolnił z domowych obowiązków i pozwolił pójść z dziewczynkami na wycieczkę. Ze Szczawnicy przez Przechybę do Rytra.

— A co z Kajtkiem?

— Marysia weźmie go do siebie.

— Nigdy dotąd nie chciałaś się z nim rozstać.

— Ale Kajtek już urósł... Marysia zajmie się nim jak własnym. A gazda go dopilnuje...

— Nie lepiej odłożyć wycieczkę do przyszłego lata?

— Przecież jeszcze nie wiemy, czy to przyszłe lato spędzimy w Rybiem... A zresztą i mnie, i dziewczynkom coś się od życia należy...

— O mnie to już nie myślisz.

— Kochanie... Przecież ty nie lubisz chodzić w góry...

— Nie lubię, bo nigdy nie chodziłem. Ale kto ci powiedział, że jakbym raz spróbował, tobym nie polubił?

— Pójdę z tobą raz jeszcze. We wrześniu.

— Na pewno?

— Na pewno!

Pogoda była jak na zamówienie. Wyruszyły wczesnym rankiem, każda z plecakiem, tylko że maminy plecak był duży, a dziewczynki do swoich niewiele mogły wcisnąć. Ale wyglądały na prawdziwe turystki. Stwierdzili to nawet z uśmiechem pasażerowie autobusu, którym pojechały do Krościenka, żeby stamtąd zacząć pieszą wędrówkę.

Szły najpierw łąką, później doliną potoku, następnie jego łożyskiem, suchym prawie o tej porze roku. Dróżka stawała się coraz bardziej stroma i kamienista, las jakby napierał z obu stron. Pachniało jedliną i wilgocią. W cieniu pod drzewami rósł mech. Dziewczynki pędziły w górę zadyszane, mama szła rozważnie, powoli, bez ustanku i doganiała je za każdym razem, gdy przysiadały, żeby odpocząć. Znalazły się w gęstym lesie, gdzie nie dokuczał skwar, choć słońce prześwitywało między gałęziami.

Inka nie mogła usiedzieć w miejscu, coś ją ciągnęło coraz wyżej, radowało ją poczucie swobody, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

— Wiesz — powiedziała do Jadźki — chciałabym tak wędrować całe życie. Iść wciąż dalej i dalej. Mieć tylko tyle, co w plecaku.

— Coś ty! A ciepłe rzeczy na zmianę? A inne buty? A jedzenie?

— O nic bym się nie martwiła. Byle wędrować...

Jadźka wzruszyła ramionami.

— Tak ci się tylko zdaje. Zatęskniłabyś za domem.

— Co mi tam dom!

Była odurzona powietrzem, zachwycona każdym nowym widokiem, jaki otwierał się przed nimi w przecince leśnej albo na połoninie.

— Uważajcie na znaki! — upominała je mama. — W tym lesie łatwo zabłądzić, bo wydeptano wiele dzikich ścieżek. A my musimy dotrzeć na czas do schroniska. Mamy zamówiony nocleg.

— Nie zbłądzimy! — wykrzyknęła Inka. Zdawało się jej, że cały świat do niej należy i nic je grozić nie może.

Mama też była jakby odmieniona, bardziej promienna, młodsza i beztroska. Tylko Jadźka nie objawiała swoich uczuć. Czyżby już oswoiła się z wędrowaniem po górskich szlakach? Nie, i dla niej to była nowość, pierwsza taka długa wycieczka. Tylko że Jadźka nie odczuwała jej niezwykłości, albo nie chciała się do tego przyznać. W każdym razie powściągała roztropnie zachwyt Inki, a gdy zatrzymano się na obiedni odpoczynek, bardziej zaprzątało ją, co zjedzą na obiad, niż to, co je czeka w dalszej wędrówce.

Mama rozłożyła czystą serwetkę na trawie, wyjęła pieczone kurczęta, chleb i masło w pojemniku. Każda z uczestniczek wyprawy dostała po dorodnym pomidorze.

Zjadły z apetytem, popiły herbatą z termosu i położyły się w głębokim cieniu. Inka czuła się cudownie, żal jej było spać, lecz mimo to usnęła po paru minutach.

Nie wiedziała, jak długo trwał jej sen, bo obudziła się rześka jak po długiej, dobrze przespanej nocy. Mama już posprzątała i spakowała plecak. Jadźka siedziała w milczeniu.

— Czas w drogę, moje panny. Będziemy teraz szły przez las prawie do samego schroniska.

— Pozwól nam iść przodem. Będziemy uważały na znaki. I będzie nam się zdawało, że radzimy sobie same w obcym terenie.

— Tak, tak, ciociu, pozwól nam iść szybciej. Spotkamy się przy schronisku!

— A jeśli zboczycie ze szlaku? Jeśli zabłądzicie?

— To niemożliwe! Przecież co kilkanaście metrów widać wyraźny znak na drzewie czy kamieniu.

— To dopiero będzie prawdziwa przyjemność!

Mama uśmiechnęła się do Inki. Trochę się jeszcze lękała, lecz rozumiała uczucia swojej córki. Kiedy była w jej wieku, też rwała się do samodzielności, chciała wypróbować swoje siły i swoją zaradność. Popatrzyła na dróżkę: wydawała się jej tak szeroka, że niepodobna jej zgubić.

— Tylko nie schodźcie nigdzie na bok...

— Spotkamy się przy schronisku! — zawołała uradowana Inka i chwyciwszy Jadźkę za rękę pobiegła naprzód. Kiedy po jakimś czasie odwróciła się do tyłu — nie dostrzegła już mamy. Najwidoczniej została daleko za nimi.

— Jesteśmy same! — wykrzyknęła — Jesteśmy same!

Szły raźno przed siebie pilnie obserwując znaki. Wyszły na rozległą polanę, czy raczej wiatrołom, bo wśród krzewów jeżyn i kęp czarnych jagód stały gęsto pnie połamanych wichurą drzew. Na horyzoncie widniało pasmo ciemnych gór.

— Jak tu ładnie! — szepnęła Inka.

— Ile jagód! — zdumiała się Jadźka. — U nas ich już nie ma. A tutaj — zatrzęsienie. Mogłybyśmy trochę pozbierać i poczekać na twoją mamę.

— Dobrze.

Jagody były wielkie i soczyste. Przyjemniej pakować je pełną ręką do ust niż wsypywać do dzbanka, żeby wystarczyło na pierogi dla całej rodziny.

— Jakie słodkie!

— Tam, niżej, na południowym zboczu jest ich jeszcze więcej.

Zbiegły po wielkich głazach, przycupnęły wśród krzewinek.

— Jak ty wyglądasz! — roześmiała się Jadźka. — Całą buzię umorusałaś. A ręce...

— Twoje są także fioletowe!

— Nie szkodzi! Umyjemy się przy jakimś źródełku. Zdaje mi się, że tam niżej płynie strumyk.

— Chodźmy do niego. Przecież nie możemy się pokazać ludziom w takim stanie.

— Jak nieboskie stworzenia!

Obie zaniosły się śmiechem i skręciły w lewo, skąd dochodził jakby szum płynącej wody. Wysokie krzaki zagrodziły im przejście. Inka pochyliła się i przeszła pod gałęziami. Jadźka ruszyła w ślad za nią. Ale strumyka wciąż nie było widać. Zagłębiły się w las, całkiem inny niż ten, na górze obok ścieżki, bo nie odwiedzany przez nikogo. Obalone pnie murszały, porastał je miękki mech. Gąszcz stawał się nie do przebycia.

— Chyba ci się zdawało, żeś słyszała plusk strumyka — stwierdziła trochę zaniepokojona Inka. — Wróćmy lepiej na szlak.

— Ależ słyszę wyraźnie, musi tu gdzieś płynąć. Jak tylko wyjdziemy z gęstwiny...

Zrobiły jeszcze kilkanaście kroków, tracąc do reszty rozeznanie,

gdzie się znajdują.

— Nie, nie, wracajmy!

— Przecież nie po to zeszłyśmy taki kawał drogi, żeby wrócić ubrudzone...

Powiedziała to jednak bez przekonania. Las był coraz gęstszy, coraz ciemniejszy. Wielkie złomy skalne tarasowały przejście. Stok stawał się bardziej stromy.

— Zabłądzimy.

— Ależ nie!

— Obiecałyśmy, że nie zejdziemy ze szlaku...

Jadźka miała stropioną minę.

— No dobrze, wracajmy.

Łatwiej to było postanowić niż wykonać. Wprawdzie ruszyły w przeciwnym kierunku, lecz wcale nie poznawały miejsca, skąd przyszły. Raz po raz wyrastały przed nimi urwiste skałki, a gdy dziewczynki obchodziły je dookoła, otwierał się przed nimi całkiem nowy widok.

— Nie szłyśmy tędy.

— To nic. Gdy znajdziemy się znów na górze, z daleka zobaczymy ścieżkę.

Usiłowały wspiąć się na szczyt wzniesienia, lecz było to bardzo uciążliwe. Straciły rachubę czasu. Ince się zdawało, że już wieczór nadchodzi. Gdy jednak stanęły na małej polance nad stromizną, stwierdziła, iż wcale nie jest tak późno. Ścieżki wszakże wcale nie było widać.

— Pewno jest za tamtym lasem — wskazała Jadźka. — Kiedy z niego wyjdziemy, ścieżka się pokaże.

— A jeśli nie? Jeśli bez końca będziemy tak kołować? Mama pierwsza dojdzie do schroniska i będzie się o nas martwić.

— Nie trzeba było tak łakomić się na jagody.

— Teraz mi wymawiasz, a sama chciałaś...

Omal się nie pokłóciły, chociaż obie czuły, że to tylko pogorszyłoby sytuację, w której potrzebny był spokój i zdrowy rozsądek. Przez pewien czas w milczeniu wdrapywały się na zbocze.

— A co będzie, jeśli noc nas tu zastanie? — zapytała zdyszana Inka. — Może tu są wilki...

— Coś ty! A choćby nawet... Latem są nażarte i nie atakują ludzi.

— Na pewno są żmije.

— Tylko na gołoborzach. Wygrzewają się na słońcu.

— Przecież my nie zostaniemy w tym wilgotnym lesie. Nie mamy nic ciepłego.

— Mówiłaś z rana, że nic ci nie trzeba. Że chciałabyś tylko wędrować i wędrować.

— Ale to jest błądzenie, a nie wędrówka.

— Fakt.

— Ciicho! Słyszysz?

Z niezbyt daleka doleciał do nich głos mamy:

— Hop, hop! Inko! Hop, hop, Jadziu!

— Jesteśmy tutaj! — odpowiedziały, jak mogły najgłośniej.

— Chodźcie do mnie!

— Zaraz!

Pomknęły co tchu w stronę, z której głos dochodził. Wkrótce wybiegły na skraj lasu. O jakieś sto metrów przed sobą dojrzały mamę Inki stojącą na ścieżce. Spoglądała w ich kierunku, wypatrywała między drzewami swoich towarzyszek.

— Jesteśmy! — zakrzyknęła Jadźka i zbiegła pędem prosto w jej ramiona.

Danuta Bieńkowska
Rys. Joanna Kusek

MOTYL W MOTELU

Zdążał raz motyl
do swego celu,
aż się zatrzymał
w leśnym motelu.

W cieniu łopianu
wóz zaparkował,
tam gdzie zielona
szumi dąbrowa.

Odetchnął z ulgą,
otrzepał skrzydła,
bo już mu długa
podróż obrzydła.

O świeży nektar
zaraz poprosił,
a potem wypił
dwie szklanki rosy.

Z puchu dmuchawca
otrzymał łoże,
więc zaraz usnął
w dobrym humorze.

A dodatkowo
szczęście też miał to,
że deszcz bezpłatnie
umył mu auto.

Włodzimierz Scisłowski
Rys. Zdzisław Byczek

KĄPIEL

W obozie, gdzie jestem na wakacjach, robimy w ciągu dnia mnóstwo rzeczy:

Wstajemy o ósmej rano. Gazem się ubieramy i idziemy na zbiórkę. Potem jest gimnastyka — raz dwa, raz dwa — biegniemy się umyć i fajnie się bawimy chlapiąc na siebie wodą. Potem dyżurni lecą na śniadanie i przynoszą masę kanapek — pycha! Szybko połykamy śniadanie i pędzimy do baraków, żeby posłać łóżka, ale nie ścielemy ich tak jak mama w domu — bierzemy prześcieradła i koce, składamy je w kostkę i kładziemy na materacu. Potem są dyżury, zamiatanie terenu, załatwianie sprawunków dla pana Genou, intendenta, a potem biegniemy gazem na zbiórkę i lecimy kąpać się na plażę. Potem znowu jest zbiórka i wracamy do obozu na obiad, który jest pyszny, bo ciągle jesteśmy głodni. Po obiedzie śpiewamy piosenki: „Płonie ognisko" i „Chłopcy, ahoj". A potem trzeba iść na leżakowanie. Leżakowanie nie jest fajne, za to obowiązkowe, nawet jak się znajdzie jakąś wymówkę. W czasie leżakowania drużynowy pilnuje nas i opowiada nam bajki. A potem jest jeszcze jedna zbiórka, idziemy znowu na plażę, kąpiemy się, jest zbiórka i wracamy do obozu na kolację. Po kolacji znowu śpiewamy, czasem przy dużym ognisku, i jeśli nie ma nocnych gier, idziemy do łóżka i mamy szybko gasić światło i zasypiać. Przez resztę czasu możemy robić, co chcemy.

Co do mnie, to najbardziej lubię kąpiel. Idziemy nad morze wszyscy, razem z drużynowymi, i cała plaża jest dla nas. Nie żeby inni nie mogli tam przychodzić, ale jak przyjdą, to zaraz się wynoszą. Może dlatego, że bawimy się na piasku w mnóstwo rzeczy i strasznie hałasujemy.

Ustawiają nas drużynami. Moja nazywa się Sokole Oko; jest nas dwunastu, mamy bardzo fajnego drużynowego, a nasze zawołanie to: „Odwagi!". Drużynowy każe nam ustawić się dookoła i mówi: „Dobrze. Tylko proszę bez szaleństw. Macie trzymać się razem i nie odchodzić za daleko od brzegu. Na gwizdek wracacie na plażę. I żeby mi nikogo nie brakowało! Nie wolno pływać pod wodą! Ten, który nie posłucha, za karę nie będzie się kąpał. Zrozumiano? No, to biegiem marsz wszyscy do wody!"

Drużynowy głośno zagwizdał i wszyscy pobiegliśmy z nim do wody. Była zimna, robiły się na niej fale, o rany, jaka była fajna!

A potem żeśmy zobaczyli, że nie wszyscy weszli do wody. Na plaży został jeden chłopak i płakał. To był Paulin, ten, który zawsze płacze i mówi, że chce wracać do domu.

— Chodź, Paulin! Chodź! — zawołał nasz drużynowy.

— Nie! — krzyknął Paulin. — Ja się boję! Ja chcę do domu! — I rzucił się na piasek krzycząc, że jest bardzo nieszczęśliwy.

— Dobrze — powiedział drużynowy — zostańcie tu i nigdzie nie odchodźcie, pójdę po waszego kolegę.

I drużynowy wyszedł z wody.

— Słuchaj, mój mały — powiedział podchodząc do Paulina — nie trzeba się bać.

— A właśnie, że trzeba! — zawołał Paulin. — A właśnie, że trzeba!

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — powiedział drużynowy. — Chodź, daj mi rękę, wejdziemy razem do wody i przez cały czas będę cię trzymał.

Paulin płacząc dał mu rękę i pozwolił zaciągnąć się do wody. Kiedy zamoczył nogi, zaczął chlipać:

— Uuuu! Uuu! Zimno mi! Boję się! Umrę! Uuu!

— Przecież ci mówię, że nie ma żadnego... — zaczął drużynowy, a potem otworzył szeroko oczy i krzyknął:

— Który tam płynie w stronę boi?

— To Kryspin — powiedział jakiś chłopak z naszej drużyny. — On strasznie dobrze pływa i założył się, że dopłynie aż do boi.

Drużynowy puścił rękę Paulina i zaczął biec, a potem płynąć krzycząc:

— Kryspin! Do mnie! W tej chwili wracaj! — i gwizdać, ale do gwizdka nabrało się

Butenko pinxit

wody i słychać było tylko bulgotanie. Wtedy Paulin zaczął krzyczeć:

— Niech pan mnie samego nie zostawia! Utopię się! Uuu! Uuu! Mamo! Tato! Uuu! — A ponieważ stał tylko po kostki w wodzie, wyglądał bardzo śmiesznie.

Drużynowy przyprowadził Kryspina, który był strasznie zły, bo za karę musiał wyjść z wody i siedzieć na plaży.

A potem drużynowy zaczął nas liczyć, ale nie szło mu łatwo, Bo kiedy go nie było, rozbiegliśmy się trochę na wszystkie strony, a ponieważ idąc po Kryspina zgubił gwizdek, więc teraz stał i krzyczał:

— Drużyna Sokole Oko! Zbiórka! Drużyna Sokole Oko! Odwagi! Odwagi!

A potem przyszedł inny drużynowy i powiedział:

— Ty, Gerard, nie drzyj się tak, moje chłopaki nie słyszą, jak gwiżdżę.

A trzeba powiedzieć, że wszyscy drużynowi robili straszny hałas gwiżdżąc, krzycząc i wołając. Potem drużynowy nas policzył, zobaczył, że nikogo nie brakuje, i kazał Gwalbertowi zostać razem z Kryspinem na plaży za to, że siedział w wodzie po szyję i krzyczał: „Wpadłem do dołu! Ratunku! Wpadłem do dołu!" A tak naprawdę to siedział w kucki. Śmieszny ten Gwalbert!

A potem drużynowi postanowili, że na razie starczy już tej kąpieli, i zaczęli gwizdać i krzyczeć:

— Zbiórka drużynami na plaży!

Ustawiliśmy się rzędem i drużynowy nas policzył.

— Jedenastu! — powiedział. — Brakuje jednego! — Brakowało Paulina, który siedział w wodzie i nie chciał wyjść.

— Nie wyjdę z wody! — krzyczał. — Jak wyjdę, będzie mi zimno! Nie wyjdę!

Drużynowy, który, zdaje się, był zdenerwowany, przyciągnął go za rękę, a Paulin krzyczał, że chce wracać do mamy, do taty i do wody. A potem, kiedy drużynowy policzył nas jeszcze raz, zobaczył, że znowu jednego brakuje.

— Nie ma Kryspina... — powiedzieliśmy.

— Chyba nie poszedł się kąpać? — zapytał drużynowy i zrobił się bardzo blady.

Ale opiekun drużyny, która stała obok naszej, powiedział:

— Mam o jednego za dużo, czy to przypadkiem nie twój? — I to był Kryspin: okazało się, że poszedł pogadać z chłopakiem, który miał tabliczkę czekolady.

Drużynowy przyprowadził Kryspina, policzył nas od nowa i zobaczył, że jest nas trzynastu.

— Kto nie jest z drużyny Sokole Oko? — zapytał.

— Ja, psze pana — powiedział jakiś maluch, którego nie znaliśmy.

— A z której drużyny jesteś? — spytał drużynowy. — Z Orląt czy z Jaguarów?

— Z żadnej — powiedział maluch. — Ja jestem z pensjonatu Mewa III. Mój tata śpi, o, tam, na molo. — I zawołał: — Tata! Tata! — a pan, który spał, podniósł głowę i powoli do nas podszedł.

— Co znowu, Bubusiu? — zapytał.

Wtedy nasz drużynowy wyjaśnił:

— Pański synek przyszedł pobawić się z dziećmi. Wygląda na to, że ciągnie go na kolonie.

A pan powiedział:

— Tak, ale ja nigdy nie wyślę go na kolonie. Nie chciałbym pana obrazić, ale wydaje mi się, że bez rodziców dzieci są pozbawione opieki.

Sempé i Goscinny
(Fragment z książki „Wakacje Mikołajka")

Rys. Bohdan Butenko

ŻNIWA

Jedzie Mazur na traktorze
mazowiecką szosą,
a tu idą cztery panny,
cztery kłosy niosą.

Pierwsza panna
kłosem żyta
zagrodziła drogę.
— Zatańcz ze mną,
mój Mazurze!
— Przepraszam,
nie mogę.

A ta druga
okiem mruga,
kłos pszenicy skubie.
— Zatańcz ze mną!
— Nie zatańczę,
chociaż tańczyć lubię.

A ta trzecia
owies niesie,
gubi ziarno złote.
— Zatańcz ze mną!
— Nie zatańczę,
chociaż mam ochotę.

A ta czwarta
nic nie mówi,
tylko skubie jęczmień.
— Zatańcz z panną!
— Nie zatańczę,
chociaż tańczę chętnie.

Stoją panny koło szosy,
tupią obcasami.
— I co z ciebie jest za Mazur,
gdy nie tańczysz z nami?

Wtedy Mazur im odkrzyknął
na całe Mazowsze:
— Przed żniwami nie zatańczę,
a po żniwach — owszem!

Wanda Chotomska
Rys. Jerzy Flisak

O pięknej dziewczynie i złym królu augustowskiego jeziora

Bardzo dawno, bardzo daleko, jak mówiono, za siódmą górą i dziewiątą rzeką, rozciągały się gęste, nieprzebyte lasy. W środku olbrzymiej Puszczy Augustowskiej lśniło wielkie jezioro. W przejrzystej wodzie jeziora przeglądały się promyki słońca i wielkie konary rosnących nie opodal drzew.

Codziennie o świcie na brzeg jeziora przychodziła dziewczyna, córka biednego drwala, która mieszkała z ojcem i matką w maleńkiej chatce na skraju lasu. Przychodziła i przeglądała się w wodzie, czesząc swe długie, jasne włosy. Potem odchodziła zajmować się codzienną pracą, aby nazajutrz znów pojawić się na brzegu przejrzystego jeziora. Dziewczyna zajmowała się zbieraniem jagód, ziół i grzybów, które potem razem z matką suszyły. Matka opiekowała się chatą, a ojciec od wczesnego świtu do późnego wieczora pracował w lesie, rąbiąc drzewo.

Pewnego razu, gdy dziewczyna jak zwykle przyszła na brzeg jeziora i czesała swoje piękne włosy, nucąc przy tym wesołą piosenkę, w pewnej chwili czyste lustro wody zmieniło się w ciemny, granatowy kolor. Fale poczęły silnie uderzać o brzeg. Czarne, pierzaste chmury zasłoniły słońce. Stało się ciemno i ponuro. Wszystko zmieniło się w mgnieniu oka. W pewnym momencie dziewczyna nic już nie dostrzegała, a po chwili fale spieniły się i coraz mocnej uderzały o łagodny, piaszczysty brzeg jeziora. Na niebie pojawiły się błyskawice. Przestraszona ruszyła się z miejsca, by jak najszybciej pobiec do chaty stojącej na skraju lasu, gdy w tej chwili ciemnoniebieska tafla wody rozstąpiła się i z dna jeziora wynurzyła się ogromna, brzydka postać wodnego króla, który przemówił tubalnym głosem:

— Słuchaj, dziewczyno! Już od dłuższego czasu przyglądam się tobie. Jesteś piękna, chcę, abyś została moją żoną.

Dziewczyna drgnęła.

— Zabiorę cię do podwodnego królestwa — ciągnął dalej — tylko zostań moją żoną.

Przestraszona, cichym i drżącym głosem odrzekła:

— Nie. Nie chcę twych podwodnych pałaców, nic od ciebie nie chcę, pozwól mi tylko tutaj pozostać. Kocham swoją matkę i ojca, kocham las i jezioro.

Król podwodnych pałaców rozgniewał się na dobre. Bił piorunami, ze złości burzył fale wody. Swoim podwładnym rozkazał:

— Macie porwać dziewczynę i sprowadzić do mnie.

Szkaradne duchy powoli skradały się do brzegu. Niezauważone czekały na odpowiedni moment, w którym będą mogły pochwycić dziewczynę. W pewnej chwili dziewczyna spojrzała w niebo na szalejącą byskawicę. Na to tylko czekali podwładni złego króla. Wykorzystali moment nieuwagi, chwycili ją za ręce i wciągnęli do wody. Na nic zdał się płacz, na nic wołanie o pomoc. Po chwili zniknęła w wodnej tafli jeziora.

Na brzegu leżała tylko biała haftowana chusteczka, najpewniej zgubiona przez białowłosą córkę drwala. Nadpływająca fala zabrała chusteczkę, która wolniutko, jak ptasie piórko na wietrze, opadła na dno jeziora.

Po pewnym czasie lustro wody przybrało dawną przejrzystą barwę, ciemne chmury odsłoniły słońce. Znów była piękna, słoneczna pogoda. Promienie jasno świecącego słońca przeglądały się w falach jeziora, któremu białą barwę nadawała mała, biała haftowana chusteczka, leżąca na dnie. I odtąd nazwano je Jeziorem Białym.

Ewa Lipińska
Rys. Zdzisław Byczek

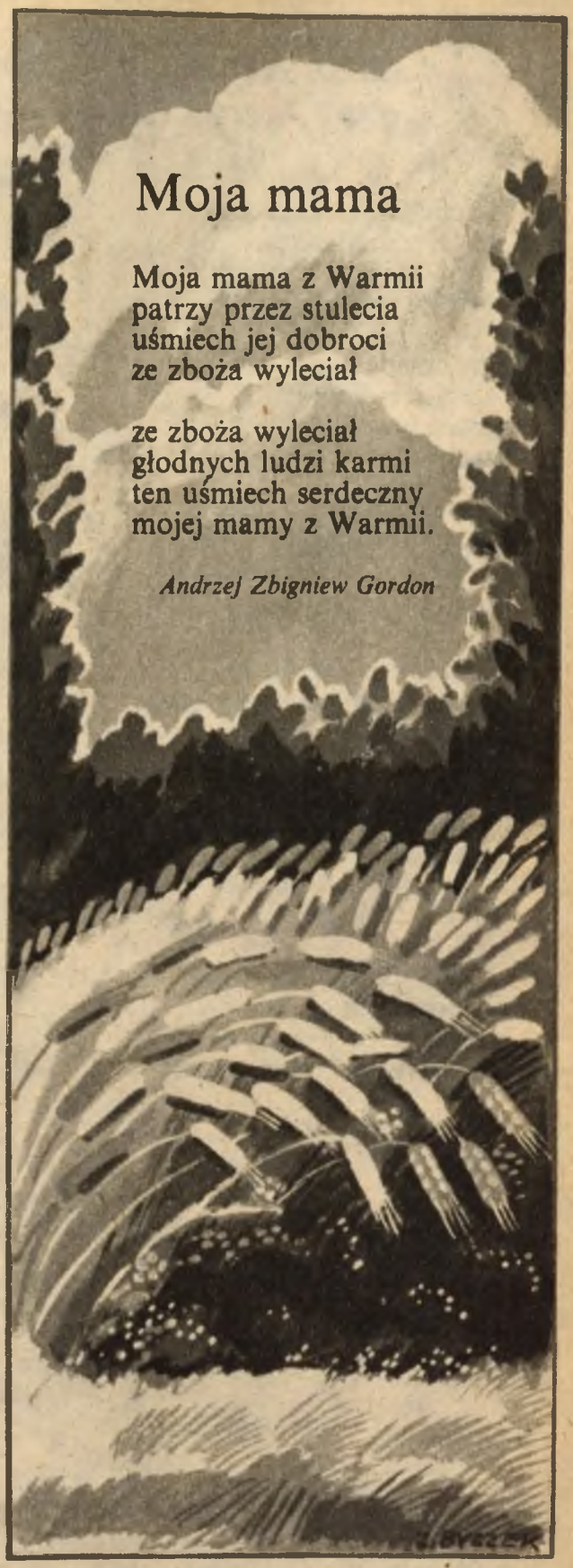

O CZYM SZUMI STARY DĄB

Kiedy wiatr wieczorem
w gałęziach szeleści,
szumi dąb — staruszek
dziwne opowieści.

Promienie wieczorne,
czerwienie gorące
rzuca na obłoki
zachodzące słońce...

Już niejedne wschody,
niejedne zachody
widział dąb — staruszek.
A był kiedyś młody!

Tutaj przed wiekami
w wielkiem, ciemnym borze
na gałęzi dębu
siadał biały orzeł.

I tu w cieniu dębu
przed wieloma laty
stał rycerski namiot
przedziwnie bogaty.

I tu w chłodnym mroku
odpoczywał czasem
żołnierz, co wędrował
przez świat borem, lasem.

Tutaj partyzanckie
płonęło ognisko.
„O płaczącej wierzbie"
pieśń płonęła iskrą.

Tędy powracali
z dalekiej krainy
żołnierze, zwycięzcy,
ku Wiśle rodzinnej.

Dzisiaj dąb — staruszek,
jak niegdyś rycerzy,
swym gościnnym cieniem
powitał harcerzy.

Bywajcie tu, mili —
szumi uroczyście. —
Cienia wam użyczą
konary i liście.

Wiatr wieczorny cicho
listkami szeleści.
Szumi dąb — staruszek
dziwne opowieści...

Czesław Janczarski
Rys. Przemysław Woźniak

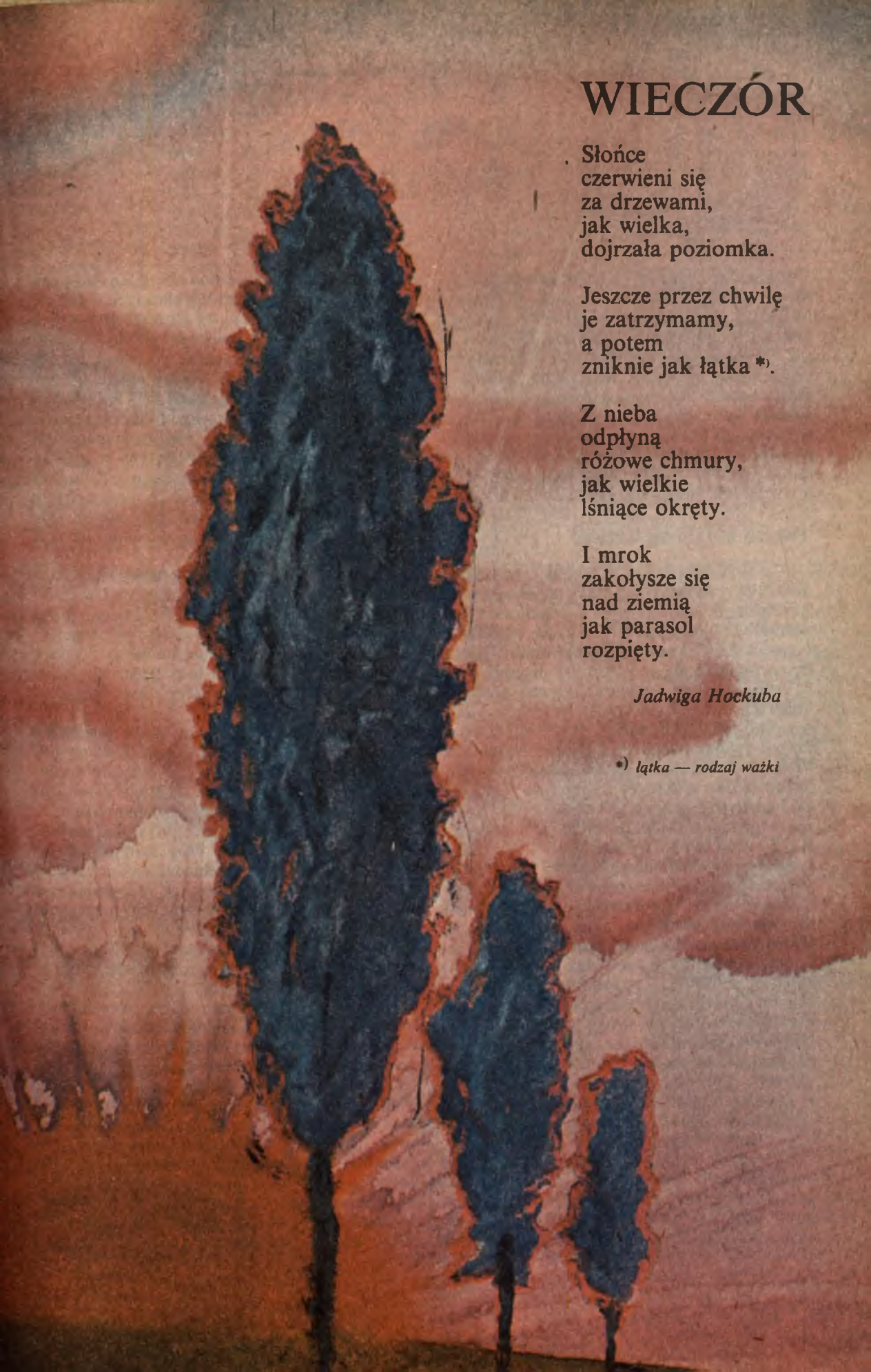

WIECZÓR

Słońce
czerwieni się
za drzewami,
jak wielka,
dojrzała poziomka.

Jeszcze przez chwilę
je zatrzymamy,
a potem
zniknie jak łątka *).

Z nieba
odpłyną
różowe chmury,
jak wielkie
lśniące okręty.

I mrok
zakołysze się
nad ziemią
jak parasol
rozpięty.

Jadwiga Hockuba

*) *łątka — rodzaj ważki*

KTO PIERWSZY OPŁYNĄŁ ŚWIAT?

Pierwszą wyprawę dookoła świata przygotował i podjął wielki odkrywca Ferdynand Magellan, ale wyprawy tej nie dane było mu dokończyć, gdyż zginął w drodze. Nie pierwsza też opłynęła kulę ziemską owa osiemnastka uczestników wyprawy Magellana, która po trzech latach żeglowania, resztką sił, doprowadziła do macierzystego portu w San Lucar w Hiszpanii prawie już rozsypujący się statek „Victoria". Pierwszą podróż dookoła świata odbył, zresztą wbrew swej woli, ktoś inny, a trwała ona równo dziesięć lat.

Tak to mogło się zacząć

Nie myśleli o żadnych dalekich podróżach mieszkańcy nadmorskiej osady na jednej z wysp Archipelagu Malajskiego. W tych ciepłych, wiecznie zielonych stronach życie było łatwe i przyjemne. Pokarmu nie brakowało. Wystarczyło zagłębić się w pobliskiej dżungli, żeby w krótkim czasie nazbierać do woli wielkich, kulistych owoców chlebowca, orzechów kokosowych, jadalnych nasion i kłączy różnych innych roślin. Nie było kłopotów z mięsem. W osadzie hodowano świnie, łatwo było upolować dziką zwierzynę i ptactwo. Do tego dochodziły zbierane na wybrzeżu małże i kraby oraz łowione w morzu ryby. Do połowów służyły łodzie z wydrążonych pni drzew i większe, dwukadłubowe katamarany. Na wyposażonych w żagle katamaranach można było odbywać dalsze wyprawy rybackie, podczas których napotykało się niekiedy na morzu jakieś inne, znacznie większe statki. Mieszkańcy osady woleli się jednak do nich nie zbliżać, a kiedy z pokładów tych statków wołano do nich, szybko oddalali się i powracali z pełnego morza do swojej zacisznej zatoki. Nie byli ciekawi świata ani żądni nowych znajomości. Dżungla i morze zaspokajały ich potrzeby życiowe, odwiedziny u plemion z sąsiednich osad — potrzeby towarzyskie. Życie w osadzie płynęło spokojnie nie zakłócane niczym nieznanym.

Toteż gdy któregoś dnia w zatoce przed osadą zarzucił kotwicę jeden z tych dużych, widywanych niekiedy na pełnym morzu statków, wywołało to zaniepokojenie mieszkańców. Ukryci za drzewami uważnie przyglądali się, jak ze statku spuszczono niewielką łódź; jak wsiadło do niej kilku dziwnie ubranych w długie szaty i kolorowe zwoje na głowach ludzi; jak odbiwszy od statku, ci nieznani przybysze podpływali ku piaszczystej łasze, na której leżały wyciągnięte z wody ich własne łodzie. Przybyszów było niewielu; nie mieli dzid ani łuków; nie wyglądali groźnie. Przełamawszy nieufność, mieszkańcy osady wylegli więc im naprzeciw. Okazało się, że jeden z owiniętych w płótno mężczyzn mówi zrozumiałym malajskim narzeczem. Zapewnił on tubylców o przyjaznych zamiarach i wyraził chęć zobaczenia się z wodzem plemienia, w celu złożenia mu wyrazów szacunku i darów.

Wyspiarze wesołą, gwarną gromadą przeprowadzili przybyszów do chaty wodza, wyróżniającej się spośród innych swoimi rozmiarami. Tu, w asyście całego plemienia, wódz został obdarowany paroma błyszczącymi i dźwięcznie brzęczącymi przy uderzeniu miedzianymi bransoletami. Oczywiście, pragnął się za to odwdzięczyć.

— Czy goście chcieliby czegoś w zamian?

— Ależ skąd! No, gdyby młodzież plemienia nie miała nic do roboty, to mogłaby nam nazbierać trochę kwiatów goździkowca, nasion muszkatołowca, młodej kory cynamonowca...

Wódz plemienia przyzwalająco skinął głową. Nie tylko młodzież, ale cała ludność osady ochoczo zajęła się wypełnianiem wielkich trzcinowych koszy, dostarczanych ze stojącego w zatoce statku. Część młodych mężczyzn i roślejszych chłopców pomagała przybyszom w załadunku roślinnego plonu na statek. Był wśród nich i bezimienny jeszcze wtedy bohater tej opowieści.

Po kilku dniach statek został wypełniony wonnym ładunkiem. Kilkunastu tubylców ustawiało pod pokładem już ostatnie kosze. Właśnie mieli za chwilę opuścić mroczną ładownię i odpłynąć do swojej osady, gdy niespodziewanie zamknęła się klapa nad otworem w pokładzie. W ładowni zapanowała zupełna ciemność. Młodych Malajczyków początkowo to rozbawiło. Parsknęli beztroskim śmiechem. Ale potem jeden z nich przesunął się ku klapie i spróbował ją unieść. Klapa ani drgnęła. To już Malajczyków zaniepokoiło. Z pokładu przenikały do ładowni odgłosy żywej krzątaniny,

nawoływania, tupot nóg. Załoga statku najwyraźniej przygotowywała się do odpłynięcia. Zamknięci pod pokładem Malajczycy zaczęli głośno wołać, później walić pięściami w klapę, Bez skutku. Gdy po pewnym czasie, zmęczeni, zaprzestali wysiłków wydostania się z tej niespodziewanej pułapki, odczuli miarowe kołysanie i rytmiczne uderzanie fal o burtę, co oznaczało, że statek płynie już po pełnym morzu.

Tak było dalej

Porwany przez mahometańskich kupców-piratów, nadal bezimienny, malajski młodzieniec, wraz ze swoimi współplemieńcami, został przewieziony do Malakki, położonego na Półwyspie Malajskim największego w XVI wieku ośrodka handlowego południowo-wschodniej Azji. Wśród towarów przywożonych na rynek tego miasta ważną pozycję stanowili również niewolnicy — młodzi, zdrowi mężczyźni dostarczani z uznawanych za „dzikie" okolic Archipelagu Malajskiego. Traf chciał, że akurat w tym czasie, a działo się to w lipcu 1511 roku, Malakka została zaatakowana przez Portugalczyków, dążących do podboju obszarów bogatych w wysoko cenione w Europie rośliny korzenne. Mahometańscy kupcy nie zdążyli jeszcze wyjść ze swoimi towarami na targowisko, gdy miasto zostało obsypane gradem armatnich kul wystrzeliwanych z portugalskich okrętów. Z oblężonego portu nie można było się wydostać. Kupcy z trwogą obserwowali toczące się przez półtora miesiąca walki. A kiedy zakończyły się one zwycięstwem Portugalczyków, pierzchnęli w popłochu, pozostawiwszy na łup zwycięzcom cały swój martwy i żywy ładunek. Część tego łupu przypadła w udziale bardzo dzielnie sobie poczynającemu pod Malakką portugalskiemu królewskiemu kapitanowi Ferdynandowi Magellanowi. Jego własnością stało się, między innymi, owych kilkunastu malajskich niewolników. Żeby ich móc rozróżniać, właściciel postanowił nadać im imiona. Podszedłszy do bezimiennego młodzieńca, powiedział:

— Ty będziesz Enrique.

— Enrique? — powtórzył młody niewolnik, nie zrozumiawszy, o co chodzi.

— Enrique! — wyrzekł Magellan raz jeszcze, wskazując nań palcem.

Teraz młodzieniec już pojął, że z woli człowieka noszącego u pasa długi miecz i umiejącego wyrzucać z rur umieszczonych w burtach okrętów ciężkie ogniste kule, z woli człowieka, którego przemocy nie może się przeciwstawić, ma się tak właśnie nazywać.

Po powrocie z Malakki do Lizbony, Magellan sprzedał niewolników, pozostawiwszy sobie tylko jednego Enrique. Uczynił z niego swego osobistego służącego i odtąd losy młodego Malajczyka były ściśle związane z losami jego pana. Enrique towarzyszył Magellanowi w prowadzonej przez Portugalczyków wojnie w Maroku, a w 1517 roku razem ze swoim panem udał się do Hiszpanii. Biegle już wtedy mówił po portugalsku i był chrześcijaninem, gdyż na życzenie bardzo religijnego Magellana został ochrzczony. Magellan bardzo zżył się z nieodłącznym służącym i szczerze go polubił. Pisemnym na to dowodem był sporządzony na wszelki wypadek przed wyruszeniem w wielką podróż zapis jego ostatniej woli. W pozostawionym w Hiszpanii testamencie Magellan nakazał, aby „od dnia mej śmierci niewolnik mój i jeniec Enrique, pojmany w mieście Malakka i mniej więcej dwadzieścia sześć lat sobie liczący, zwolniony był od wszelkich obowiązków niewolnictwa lub poddaństwa i aby czynić mógł oraz postępować według własnej woli. Życzę też sobie, aby ze spadku po mnie w pieniądzach dane mu było 10 tysięcy maravedi jako wsparcie". Byłoby to niebagatelne wsparcie, gdyż maravedi — srebrna hiszpańska moneta — miała wówczas znaczną wartość.

Oczywiście, Enrique został zabrany na wielką wyprawę i płynął na tym samym statku co Magellan w kajucie sąsiadującej z kajutą dowódcy. Przeżył trudy opłynięcia Ameryki Południowej, radość odkrycia Oceanu Spokojnego, morderczą przeprawę przez jego bezkresne, zdawałoby się, wody.

Tak się skończyło

Gdy po 110 dniach nieprzerwanej żeglugi rozległ się wreszcie z bocianego gniazda ochrypły krzyk — „Ląd!" — Enrique ucieszył się jeszcze bardziej niż inni. Dla niego oznaczał on nie tylko ocalenie, ale także możliwość zobaczenia rodzinnych stron. Wszak celem wyprawy było dotarcie do Archipelagu Malajskiego, tylko nie od zachodu, lecz od wschodu. Na razie spotkał go zawód. Napotkana wyspa była zamieszkana, jednak tubylcy mówili niezrozumiałym językiem. Ale po tej pierwszej zaczęły się pojawiać na oceanie coraz częściej i inne wyspy. Na brzegu jednej z nich znajdowała się ludna osada bardzo podobna do tej, z której młody Malajczyk został porwany przed dziesięciu laty. Ujrzawszy zbliżające się statki Magellana, mieszkańcy osady tłumnie wylegli na brzeg. Ośmiu z nich wskoczyło do czółna i podpłynęło do statków. Takie czółna Enrique już widział, więc serce znowu zabiło mu mocniej.

— Co to za ludzie? Co to za wyspa? — mruknął stojący obok Magellan.

Enrique prawie bezwiednie powtórzył pytanie dowódcy w swoim malajskim języku. I oto twarze wyspiarzy najpierw znieruchomiały w osłupieniu, a potem rozjaśniły się promiennymi uśmiechami. Wszyscy razem wykrzyknęli nazwę wyspy.

— Massaua!

I zaraz posypały się do oszołomionego Enrique zadawane po malajsku pytania. A więc zrozumieli go i on ich rozumie! Znowu znalazł się wśród rodaków, a dopłynął do nich nie z tej strony, w jaką go uprowadzono, lecz z przeciwnej. Chociaż zapewne nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę, ale to on właśnie jako pierwszy człowiek w historii ludzkości okrążył cały ziemski glob: z zachodniej części Oceanu Spokojnego, przez Malakkę, Ocean Indyjski, wokół Afryki, przez Portugalię i Hiszpanię, Ocean Atlantycki, Brazylię, Ziemię Ognistą i cały Ocean Spokojny przywędrował w swoje rodzinne strony, ponownie trafił do ludzi, z którymi mógł się porozumiewać w swoim ojczystym języku, od dziesięciu lat używanym tylko w myślach.

Chociaż Magellan niczego nie rozumiał z potoku obustronnie wyrzucanych słów, to pojął rzecz dla niego najważniejszą: udowodnił bezspornie, że Ziemia jest kulą. Dowódca wyprawy objął Enrique serdecznym uściskiem. Wszak ten młody, smukły, brązowy człowiek, podskakujący teraz w podnieceniu i radości, był żywym dowodem jego triumfu.

Wielki odkrywca sam, niestety, nie zamknął wokółziemskiej pętli. Poległ w potyczce z krajowcami na małej wysepce Mactam, położonej w pobliżu większej wyspy Cebu, należącej do dzisiejszych Filipin. Po śmierci Magellana Enrique odłączył się od wyprawy (nastąpiło to dokładnie 1 maja 1521 roku) i pozostał na Cebu. Dalsze jego losy nie są już znane. Nie wiemy, czy u swoich pobratymców odzyskał wolność, czy popadł w nową niewolę. W każdym razie na pewno nie odziedziczył 10 tysięcy maravedi zapisanych mu w testamencie Magellana.

Zbigniew Przyrowski
Rys. Jerzy Flisak

DBAMY O ZDROWIE (2)

Wypadek na drodze

Dziewięcioletni Dariusz obudził się, bo poczuł wielki ból w głowie. „Zaraz przejdzie — pomyślał — przecież to jest nie do wytrzymania". Ale skąd ten nieznośny ból twarzy i prawego oka? Lewego nie czuł wcale.

„Nie widzę" — pomyślał. Chciał otworzyć piekące powieki i nie mógł. Z przerażeniem sięgnął ręką do obolałej głowy. Była zawinięta w bandaże. W prawym oku prześwitywało trochę światła, w lewym oku trwała noc.

Ostrożnie sięgnął do bolącej twarzy, odchylił trochę bandaż i spojrzał ukradkiem przez dolny brzeg zawoju. Biała pościel, białe łóżka, białe ściany. W pokoju stały trzy takie same łóżka, a w nich dzieci z opatrunkami. Szpital... nie mógł sobie uświadomić, jak się tutaj znalazł. Teraz dopiero poczuł, że lewa jego noga jest zdrętwiała i nie może nią poruszyć. Tkwiła w sztywnym opatrunku gipsowym. Nie mógł sobie przypomnieć, co mu się przydarzyło, że leży teraz w szpitalu.

Ostatnią sytuację, jaką powoli zaczął sobie przypominać, była ta, że po szkole zamiast odrabiać lekcje — jak obiecał mamie — wybiegł jak szalony do swojego przyjaciela Janka, z którym chciał grać w piłkę nożną. Janek mieszkał po przeciwnej stronie ulicy w osiedlu i czekał na niego przed bramą z piłką w rękach. Co było dalej — nie mógł sobie przypomnieć i, wyczerpany i rozżalony, usnął. Spod opatrunku popłynęły łzy...

Gdy się ponownie obudził, przy łóżku siedziała jego mama, która opowiedziała mu, że gdy wybiegał z domu, wołała za nim, aby był ostrożny, lecz on, nie słuchając, wybiegł na jezdnię prosto pod koła ciężarówki „Jelcz"...

Teraz ze śladów pamięci powoli wyłaniała się ta scena, kiedy nie rozglądając się na boki, wtargnąwszy na jezdnię, usłyszał z lewej strony szybko narastający warkot silnika, pisk hamowanych opon i zobaczył maskę nadjeżdżającej ciężarówki. Poczuł niesamowity ból w lewym udzie, promieniujący do stopy, i został potworną siłą wyrzucony w górę, wykonał półobrót w powietrzu i spadając uderzył lewą połową twarzy w reflektor ciężarówki. Zobaczył przerażające światło, jakby mu w głowie eksplodował granat, i zapadł się w ciemną nicość. Było to tak, jakby w kinie nagle film się urwał: było życie, była akcja i nie ma już niczego... Zrobiło mu się niesamowicie smutno. Czemu to właśnie jemu się to przytrafiło, przecież rodzice zawsze „gderają", aby uważać. Siedząca obok mama cicho płakała i gładziła go po ręce.

Wtem otwarły się drzwi i do sali chorych weszli lekarze i pielęgniarki z wizytą. Mama Dariusza uścisnęła mu dłoń i wstała.

— Przepraszam, że wtargnęłam na salę chorych na oddziale chirurgicznym, wiem, że nie powinnam. Panie profesorze, proszę powiedzieć, co mu się stało i co z nim będzie w przyszłości?

Z rozmowy prowadzonej półsłówkami Dariusz dowiedział się, że miał wstrząs mózgu, że ma pękniętą czaszkę, ciężką ranę lewej połowy twarzy, że zniszczoną gałkę oczną trzeba było usunąć i że ma złamaną lewą kość udową. Leczenie potrwa co najmniej kilka tygodni. Takie były skutki jego nieostrożności i niedostatecznego nadzoru rodziców.

Do sali chorych wszedł tata Dariusza i wyprowadził szlochającą mamę. Dariusz teraz dopiero zrozumiał wielkość swego nieszczęścia, ponieważ wypadek oznaczał nie tylko utratę upragnionych wakacji na obozie harcerskim, które teraz będzie musiał spędzić w łóżku, ale również utratę oka na całe życie. Następnego dnia dowiedział się, że leży w Klinice Chirurgii Dziecięcej i że w tej samej sali od dwóch miesięcy leży ośmioletni Dawid z powodu ciężkiego oparzenia oraz pięcioletni Januszek, który omyłkowo napił się kwasu solnego.

O ich smutnych losach opowiemy w jednym z następnych „Płomyczków".

Prof. dr hab. Zdzisław Huber

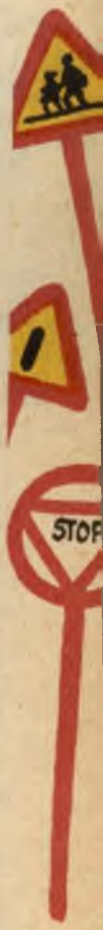

Trzeba wiedzieć, że po wypadku:

— Nie wolno przenosić nieprzytomnego. Należy zaczekać na Pogotowie lub inną fachową pomoc. Nieumiejętnie zastosowany zabieg, (np. przy urazach kręgosłupa) może spowodować trwałe kalectwo.

— Trzeba zapewnić temu, kto uległ wypadkowi, możliwość oddychania. Chodzi o to, aby usta i nos nie były zanurzone w wodzie lub w trawie i nie dotykały ziemi.

— Zabezpieczyć nieprzytomnego przed możliwością następnego wypadku, (np. przed najechaniem przez nadjeżdżające samochody).

NA KOLONIACH W KRAJU OJCÓW

Od ponad 30 lat corocznie przybywa do Polski z zagranicy na kolonie letnie kilkaset dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia. Kolonie te organizuje się w najpiękniejszych regionach kraju, w znanych miejscowościach wczasowych, m. in. w Szklarskiej Porębie, Piwnicznej, Frysztaku, Wadowicach, Sadownem, Zakopanem i Jaśle. W zeszłym roku odwiedziłem kolonię w Jaśle, gdzie odpoczywały dzieci polonijne z Austrii, Grecji, Szwajcarii i Włoch. Towarzyszyła im grupa polskich rówieśników, dzięki czemu przez blisko miesiąc mogły mówić po polsku. Trafiłem na godziny zajęć sportowych. Większość dzieci grała w ulubioną grę zespołową — w siatkówkę. Po chwili zostałem przedstawiony kierownikowi kolonii p. Ryszardowi Prajsnarowi, który opowiedział mi o programie zajęć na kolonii. Dzieci odbyły kilka atrakcyjnych wycieczek — do Krakowa, Wrocławia i Łańcuta, płynęły przełomem Dunajca, zwiedziły kopalnię soli w Wieliczce, a także spędziły kilka dni w Rzeszowie, gdzie uczestniczyły w V Polonijnych Spotkaniach Pokoleń i oglądały występy zespołów artystycznych biorących udział w VII Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych.

Zapytałem kilkoro dzieci z kolonii w Jaśle, jak oceniają tutaj swój pobyt. Odpowiedziały mi, że każdy dzień spędzony w Polsce był ciekawy i pożyteczny. Miło i przyjemnie mijał czas dzieciom, zawarły one wiele interesujących znajomości i przyjaźni, co na pewno znalazło wyraz w korespondencji w ciągu roku szkolnego. Koloniści nauczyli się tańców regionalnych i piosenek młodzieżowych. Uczestniczyli w lekcjach języka polskiego i historii. Natalia Pilicydis z Grecji i Andrea Gontarczyk z Wiednia zwierzyły mi się, że nauczyły się gotować kilka smacznych polskich potraw i zrobią swoim mamom po powrocie ciekawą niespodziankę.

Wielu uczestników kolonii brało udział w konkursach: „Znam ojczyznę moich przodków" i „Polska sercem malowana". Słowem — dzieci i młodzież miały udane wakacje na koloniach w kraju matek, ojców i dziadków.

Tekst i zdjęcia: Jerzy Wojciewski

KLUB SPORTOWY

Gdy byłem nieletnim chłopcem, mieszkałem z rodzicami w Krakowie, przy ulicy Wolskiej (dziś Manifestu Lipcowego). Nie interesowałem się sportem, ale pamiętam, że zwracały moją uwagę tłumy ludzi, które niedzielnymi popołudniami ciągnęły ku Błoniom. Pytałem, co to znaczy. Dowiedziałem się, że to bywalcy Klubu Sportowego „Cracovia", idą czy wracają z meczu. Kilka lat później sam zacząłem chodzić na mecze. Stałem się zwolennikiem „Cracovii". Humor i dowcip uczniowski działał. Szukaliśmy raczej zabawy niż wyładowania fanatyzmu. Wtedy narodził się pomysł, by swe niezadowolenie z decyzji arbitra wyrażać zawołaniem:

— Sędzia, kanarki doić!

Nasze uznanie budziły piękne zagrania ulubionej drużyny. Artystyczne „kombinacje", precyzyjne podania całej linii ataku i pomocy, „od nóżki do nóżki". Te dokonania budziły w nas równie gorące uznanie jak... gole.

Odwiecznym rywalem „Cracovii" była, jak wiadomo „Wisła", która wedle naszej opinii — grywała ostrzej. Dlatego zrodził się okrzyk „Cracovia pany — Wisła dziady!". Z biegiem lat te zawołania zmieniały adresata i sztubaki oraz starsi wołali:

„Wisła — pany, Cracovia — dziady!" Do dziś tak (czy przeciwnie) w Krakowie wołają.

Wśród zawodników „Cracovii" grywało kilku sławnych później ludzi. Znakomity fizyk, profesor Uniwersytetu, następca mojego ojca na katedrze, a syn pisarza, Jan Weyssenhoff. Znakomity lekarz, dr Stanisław Cikowski, kilku inżynierów. Do dziś pamiętam skład pierwszej drużyny z okresu międzywojennego. Prezesem „Cracovii" był wybitny lekarz i energiczny działacz, dr Cetnarowski. Z powodu otyłości nazywano go w Krakowie, „Dwu-Cetnarowskim", i opowiadano, że sam jeden zajmował całą dorożkę. W ostatnich klasach licealnych sam zacząłem grywać. Ale byłem patałachem. Szybko zaniechałem więc gry w piłkę. Zamiast niej — uprawiałem sport dużo piękniejszy, szlachetniejszy: lekkoatletykę. Biegałem na 100 lub 200 metrów. Szczytem mego sukcesu był bieg w drugiej reprezentacji „Cracovii" w sztafecie 4 × 100 m. Zapewnił mi to trener i przyjaciel, Wojciech Florkiewicz. Razem startował późniejszy profesor we Wrocławiu, Marcin Bukowski, socjolog prof. Feliks Gross, jeden z najdowcipniejszych ludzi w Krakowie, Karol Dziwiński, późniejszy niezmiernie zasłużony prezydent Krakowa, Zbigniew Skocz-Skolicki. On to wprowadził uchwałę, że jedna z ulic Krakowa otrzymała nazwisko mego Ojca, fizyka i humanisty — Władysława Natansona.

Wierzyliśmy wtedy, że sport będzie prawdziwym środkiem zbliżenia i pojednania narodów, zapewnienia pokoju, ulepszenia obyczajów. Jan Parandowski napisał słynny „Dysk olimpijski", stanowiący jakby wezwanie do tego, by przywrócić złotą erę helleńską, gdy sport służył szlachetnej i przyjacielskiej rywalizacji. (W czasach rzymskich zastąpiły go walki gladiatorów). Jeszcze wcześniej piękny wiersz o dyskobolu napisał wielki poeta Kazimierz Tetmajer. W naszych już czasach pisywali „Ody olimpijskie" Jarosław Iwaszkiewicz, Aleksander Rymkiewicz. Jeszcze przed pierwszą wojną humorystyczny wiersz o meczu „Cracovii" z drużyną węgierską ogłosił Boy-Żeleński, Jan Sztaudynger opiewał uroki narciarstwa, Marian Promiński stworzył wyborną opowieść o roli ambicji w piłkarstwie.

Niestety, dziś sport rzadko jednoczy skłócone społeczeństwa, częściej je dzieli. Zdarzyła się nawet — w Ameryce Południowej — „wojna futbolowa", której przyczyną był — mecz. Znane są wybryki chuligańskie w Anglii, na Malcie i gdzie indziej.

Wielkimi „wrogami" lojalności w sporcie są: fałszywie pojmowany profesjonalizm, gwiazdorstwo, fanatyzm. Do wyjątków należał piękny gest naszego gracza Lubańskiego, który przeskoczył rzucającego mu się pod nogi bramkarza rywali.

By uzdrowić sport, należałoby wyeliminować tak antysportowe w samym założeniu dyscypliny, jak boks (duża część byłych zawodników odpokutowała za nokauty — nieuleczalną chorobą). Celem boksu jest rywalizacja i współdziałanie, a nie eliminacja przeciwników. W futbolu należałoby zaostrzyć sankcje za grę szkodliwą, odliczać punkty za „żółte kartki", tępić w klubach i u sprawozdawców telewizyjnych — wszelkie objawy fanatyzmu sportowego. Do dziś pamiętam zdumiewający wypadek na Mundialu hiszpańskim, gdy bramkarz RFN, Schuhmacher, brutalnie zaatakował francuskiego gracza. I nie poniósł za to najmniejszej kary.

Z wielkim uznaniem powitać trzeba wspólną odezwę członków obu rywalizujących kiedyś klubów „Cracovii" i „Wisły". Na zeszłoroczne Boże Narodzenie zaapelowali oni do całego społeczeństwa o „przywrócenie właściwego oblicza polskiemu sportowi" przez wyeliminowanie szowinizmu*) klubowego i gwiazdorstwa.

Wojciech Natanson

*) szowinizm — ślepe uwielbienie, np. dla własnego narodu, klubu, drużyny, a nienawiść i pogarda dla innych.

W herbaciarni Ibrahima

Dopiero kiedy trzeci dzbanek zielonej herbaty zaświecił dnem, sędziwy Abdułła — największy mądrala machałły — odsapnął głośno z ulgą i zwrócił się do Hodży Nasreddina, obsługującego gości w czajchanie:

— Afandi, może do tej herbaty dodasz nam jeszcze jakąś zagadkę od siebie? Chorego Ibrahima zastępujesz co prawda znakomicie, ale widzisz, roztropnym ludziom sama herbata już nie wystarczy. Po napełnieniu kiszek głowa także dopomina się o swoje.

Hodża zastanawiał się tylko przez moment.

— Jeżeli pragniecie rozruszać gnuśniejące umysły, pomogę wam z radością — powiedział. — Posłuchajcie, o czcigodni, niezwyczajnego problemu. Posłuchajcie uważnie, gdyż sprawa wcale nie jest prosta. Gdyby z Samarkandy do Buchary prowadziło sześć różnych dróg, zaś z Buchary do stolicy dalekiego Chorezmu — Chiwy wiodły cztery różne drogi, to ilu rozmaitymi drogami przechodzącymi przez naszą wspaniałą Bucharę mogłaby karawana kupiecka przejechać z Samarkandy aż do Chiwy?

Słysząc słowa Hodży Nasreddina siwobrody Abdułła podskoczył, jakby go jadowity skorpion użądlił w gołą piętę. Wrzasnął na całą czajchanę:

— Zastanów się, co mówisz, afandi! Przecież wiesz doskonale, że z Samarkandy do Buchary prowadzi zaledwie jedna droga, wydeptany od stuleci szlak karawan kupieckich. Oczywiście, jeśli nie liczyć zbójeckich ścieżek, po których przemykają łotrzykowie wyjęci spod prawa. Zaś z Buchary do Chiwy wiodą tylko dwie różne drogi. Pustynna poprzez Czerwone Piaski oraz wodna, łodziami na żagle lub wiosła po Wściekłej Dżejchun — Amu-darii.

— Najwidoczniej myśl nie nadąża za twoim językiem, Abdułło. Nie ma niczego niezwykłego w moich słowach, zapewniam cię. Tyle że nie jest to problem przeznaczony dla zwyczajnych poganiaczy wielbłądów, ale dla mężów, którzy twierdzą o sobie, iż noszą na karkach głowy, a nie puste podstawki pod czałmy czy tiubietiejki — odpowiedział spokojnie Hodża Nasreddin, po czym zajął się przygotowywaniem zielonej herbaty dla nowych gości.

Żar słoneczny suszył organizmy i rodził pragnienie. To zaś gnało nieustannie przechodniów pod dach czajchany po ratunek tkwiący w brzuchu miedzianego dzbana.

*

Zanim Abdułła wraz z kompanami wkroczy na ścieżkę prawidłowego rozumowania, może i wy zdołacie odpowiedzieć na pytanie bucharskiego mędrca. Gdyby opowieść Hodży była prawdziwa, to ilu różnymi drogami wiodącymi przez Bucharę można by przejechać z Samarkandy do Chiwy?

Zdzisław Nowak
Rys. Jerzy Flisak

(Fragment książki „Książę Łuczników. Figle i zadania mądrego Hodży")

WYPRAWA MAGELLANA

Kulistego kształtu Ziemi domyślano się od czasów starożytnych. Przekonującego dowodu na to, że Ziemia jest ogromną kulą, dostarczyła jednak dopiero wyprawa Magellana, która odbyła się w latach 1519—1522. Jej organizator, Ferdynand Magellan, był Portugalczykiem. Przekonany, jak Kolumb, o kulistości Ziemi, postanowił dokonać tego, co trzydzieści lat wcześniej nie udało się właśnie Kolumbowi, jego wielkiemu poprzednikowi, postanowił dopłynąć do leżącej na wschód od Europy południowo-wschodniej Azji drogą wiodącą na zachód. Jego rozumowanie było proste: jeżeli odkryty przez Kolumba ląd nie był wybrzeżem Azji, a Ziemia jest kulista, to żeby dostać się do Azji, trzeba płynąć jeszcze dalej na zachód wyminąwszy Amerykę. O tym, że za Ameryką jest znowu wielkie morze, wiedziano od 1513 roku. Zobaczył je własnymi oczyma hiszpański odkrywca Panamy, Vasco Nunez Balboa, który po wylądowaniu w Ameryce, szczęśliwie trafił akurat na najwęższe miejsce amerykańskiego kontynentu i w ciągu 120-dniowej uciążliwej wędrówki przemierzył go od brzegu do brzegu. Znalezienie wodnego przejścia na to zaamerykańskie morze otwarłoby zatem — według rozumowania Magellana — zachodnią drogę do Azji, być może krótszą od wschodniej, jaką

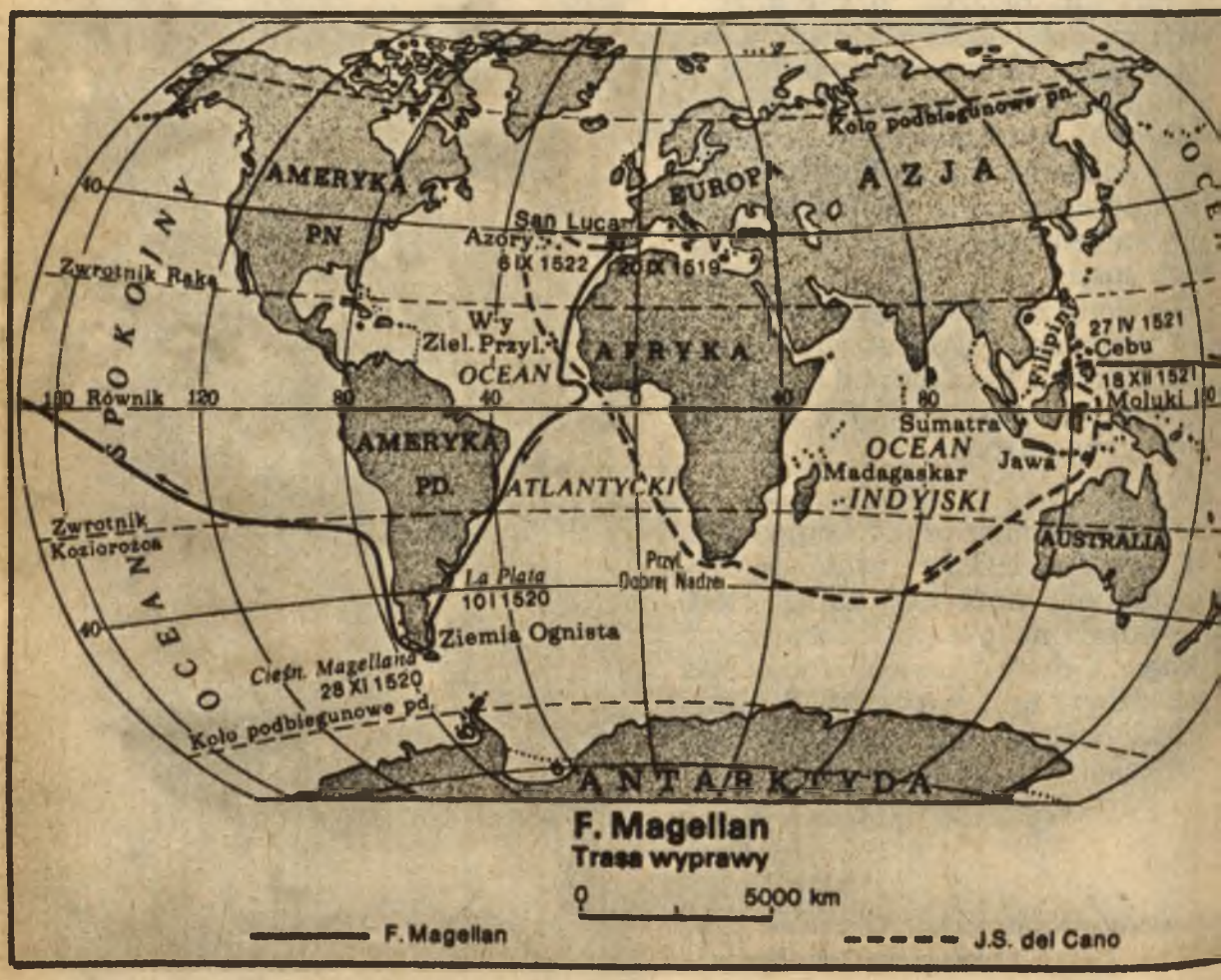

odkrył w 1498 roku Vaco da Gama opływając Afrykę.

Chociaż Magellan był Portugalczykiem, to swój plan przecież przedstawił królowi hiszpańskiemu, Karolowi I. Na portugalskiego króla, Manuela, po prostu pogniewał się, uznawszy, że ten nie ocenił należycie jego zasług w kilkunastoletniej służbie wojennej. Karol I wyraził zgodę na zorganizowanie wyprawy i oddał pod dowództwo Magellana pięć statków. Wypłynęły one w morze 20 września 1519 roku z hiszpańskiego portu San Lucar. W styczniu 1520 roku wyprawa Magellana dotarła do ujścia południowoamerykańskiej rzeki La Plata. Przypuszczano, że szerokie ujście tej rzeki jest początkiem cieśniny, którą można się przedostać na morze odkryte przez Balboa. Przekonawszy się o błędności tego mniemania, wyprawa udała się dalej na południe. Wodnego przejścia na zachód ciągle nie było. Posuwające się na południe statki zagłębiały się w coraz chłodniejsze rejony. Zbliżała się południowa zima. Hiszpańskie załogi statków zaczęły się buntować; nie chciały płynąć dalej. Dowódcy obcokrajowcowi zarzucano, że cała ta wyprawa to podstęp, mający na celu zagładę hiszpańskich statków. Jednak Magellan poskromił bunty i, po spędzeniu zimy w lądowym obozowisku rozbitym na bezludnym brzegu Patagonii, znowu wziął kurs na południe, uparcie szukając upragnionego przejścia. Cieśninę, nazwaną później imieniem Magellana, znaleziono 21 października 1520 roku. Po trzytygodniowej trudnej żegludze pomiędzy stromymi, skalistymi brzegami, 8 listopada 1520 roku przed uczestnikami wyprawy otwarło się ponownie pełne morze. Dzień był wtedy cichy, pogodny, woda łagodnie falowała. Morzu rozlewającemu się z drugiej strony Ameryki Magellan nadał więc nazwę Oceanu Spokojnego. Z pięciu statków, które rozpoczęły wyprawę, na Ocean Spokojny wpłynęły trzy. Jeden bowiem rozbił się u brzegu Patagonii, drugi, wysłany w czasie pokonywania cieśniny na zwiady, zamiast wykonać polecenie, zawrócił i ze zbuntowaną załogą popłynął w stronę Hiszpanii.

Ocean Spokojny okazał się nieoczekiwanie wielki. Dopiero po trzech miesiącach i dwudziestu dniach wygłodniali, udręczeni i zdziesiątkowani chorobą wywołaną brakiem witamin — szkorbutem — żeglarze dopłynęli do wyspy, na której mogli wylądować, aby uzupełnić zapas żywności i wody. Położone już w południowo-wschodniej Azji Wyspy Filipińskie wyprawa osiągnęła 16 marca 1521 roku. Podczas dłuższego postoju przy tych wyspach, 27 kwietnia 1521 roku, doszło do zbrojnego starcia z mieszkańcami jednej z nich. Magellan został zabity. W walkach z krajowcami poległo również wielu innych uczestników

wyprawy. Gdy z Hiszpanii wyruszyło ich ponad ćwierć tysiąca, to w dalszą drogę z Filipin udało się stu kilkunastu. Nowy dowódca, Hiszpan El Cano, zdecydował, że wystarczą im dwa statki. Jeden więc, znajdujący się w najgorszym stanie, porzucono.

Do Europy postanowiono wracać przez opanowany już częściowo przez Portugalczyków Archipelag Malajski. Ta wschodnia, znana droga okazała się jednak krótsza i łatwiejsza, chociaż ryzykowna, gdyż można się było na niej natknąć na Portugalczyków zazdrośnie strzegących dostępu do wcześniej zagarniętych wysp. Rzeczywiście, jeden z dwóch hiszpańskich statków wpadł w ich ręce. Wieziony na nim ładunek korzeni został skonfiskowany, a załoga uwięziona. Drugiemu, pod dowództwem El Cano, udało się szczęśliwie przemknąć i wrócić do Hiszpanii. Statek ten nosił, jak się okazało, proroczą nazwę „Victoria" — „Zwycięstwo". Było to jednak zwycięstwo drogo okupione — z 265 ludzi opuszczających przed trzema laty port San Lucar powróciło do tego portu w dniu 7 września 1522 roku zaledwie 18. Ale królowi hiszpańskiemu wyprawa się opłaciła, ponieważ wartość przywiezionych na „Victorii" korzeni pokryła z nawiązką wszelkie poniesione przez niego koszty.

Zbigniew Przyrowski

1

WYSPY FIDŻI

Archipelag przepięknych wysp Fidżi znajduje się na Pacyfiku, na 180° południku — tuż przy linii zmiany czasu. Przez sto lat była to kolonia brytyjska. Państwo Fidżi uzyskało niepodległość w 1970 roku. Na Fidżi mieszkają, prócz tubylczej ludności, Hindusi. Przybyli tutaj na przełomie naszego stulecia na plantacje trzciny cukrowej. Mieli opuścić Fidżi po 10 latach. Spodobało im się jednak tutaj i pozostali. Po wielu latach było ich już więcej niż tubylców, czyli Fidżijczyków. Ten fakt jest dzisiaj źródłem walki o władzę, której rdzenni mieszkańcy wysp — Melanezyjczycy — oddać nie zamierzają.

Kraj jest niewielki, jego powierzchnia wynosi nieco ponad 18 tys. km², a ludność liczy niespełna 700 tys.

Ludność żyje z rolnictwa, z uprawy trzciny cukrowej. Rosną też tutaj wszelkie rośliny tropikalne, jest niewielka kopalnia złota, no, i rzecz jasna, kwitnie turystyka.

Na Fidżi kilkakrotnie byłem i, co mogłem, sfotografowałem i opisałem. Każdorazowo przybywałem samolotem, a lądowanie odbywało się na nowoczesnym lotnisku w Nandi. Stolicą kraju jest miasto Suwa, liczące 80 tys. mieszkańców.

Tekst i fot. Bronisław Dostatni

1. Pełne uroku są stare wioski Fidżi. Ta leży w samym sercu wyspy Viti Levu (co znaczy Wielkie Fidżi). Nowocześniejsze chaty mają dach kryty blachą.

2

2. Podobały mi się bardzo dzieci fidżijskie. Pokazywały mi, jak zrywa się kokosy, łowi korale i ryby.

3

3. Dzieci prowadziły mnie do swoich domów, a tam oczekiwali ich rodzice. Od razu zaczęli gotować świetną zupę z tutejszych, egzotycznych jarzyn.

4. Fidżi często nawiedzają tajfuny. Jeden z nich przeżyłem, a kiedy już poczułem się bezpieczny, sfotografowałem jego skutki.

4

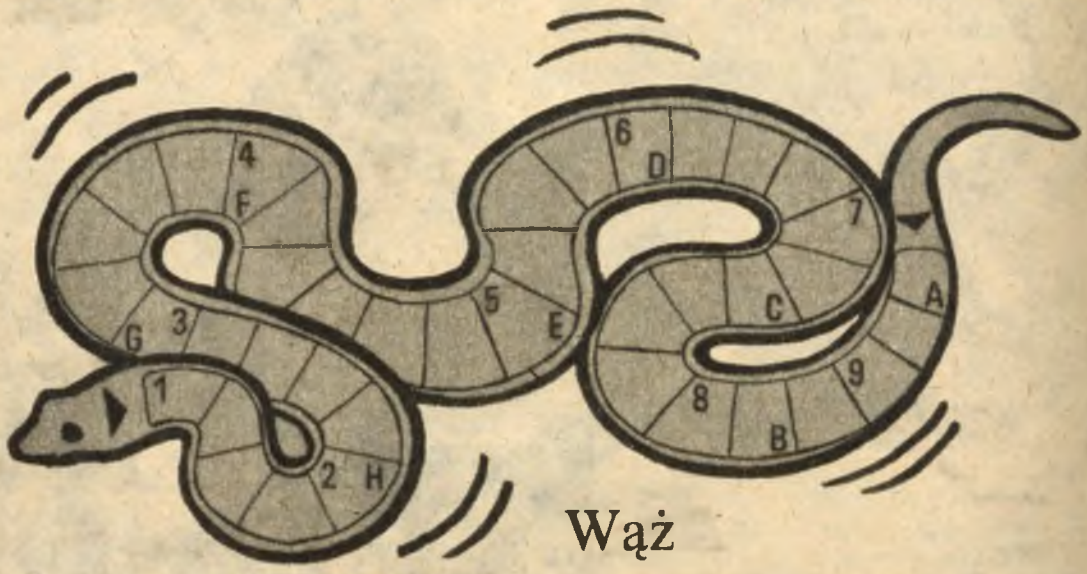

Wąż

W kratki węża wpisz dwie grupy wyrazów o podanych niżej znaczeniach.

Pierwsza grupa — to wyrazy oznaczone cyframi od 1 do 9; wpisz je kolejno w kierunku od głowy do ogona zaczynając od strzałki. Drugą grupę wyrazów, oznaczoną literami od A do H, wpisz w kolejne kratki zaczynając od strzałki w ogonie.

1) bubel, bezwartościowy wyrób, 2) uprawiaj go, bo to zdrowie, 3) przejażdżka sankami, ale nie kulig, 4) do jazdy latem, zamiast łyżew, 5) prawy dopływ górnej Narwi, 6) czarny gryzoń żyjący pod ziemią, 7) składa go zastępowy na apelu, 8) tajemniczy pojazd z zaświatów, 9) do wygrania na loterii.

A) muzyczny występ w pojedynkę, B) ciepłe ubranie niedźwiedzia, C) niska kondygnacja, D) część szyi, E) obchodzi imieniny 25 lutego, F) w łazience do kąpieli, G) powała, sufit, H) bajkowa zdobycz.

T. K.

KRZYŻÓWKA

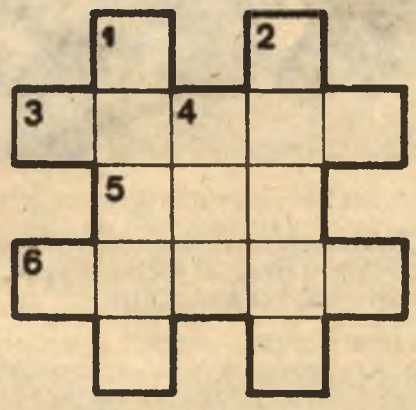

Do pustych kratek wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach.

Poziomo: 3. Jest nim muchomor, 5. pełza i syczy, 6. metalowa blaszka na na bucie.

Pionowo: 1. rąbie drzewo w lesie, 2. w parze z widelcem, 4. siekacz lub trzonowy.

J. S.

Rozwiązanie zagadki

No, właśnie, ilu różnymi drogami można by przejechać z Samarkandy do Chiwy, podążając przez Bucharę? Aby odpowiedzieć na to pytanie, najlepiej jest posłużyć się rysunkiem:

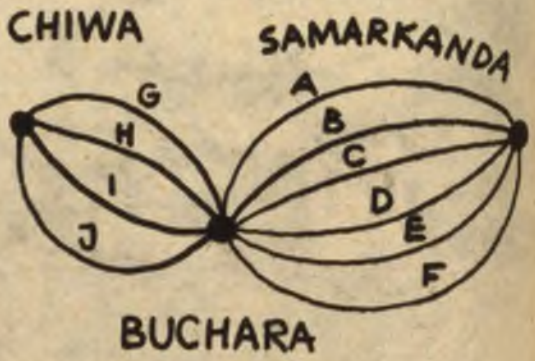

Popatrzcie uważnie. Z Samarkandy do Buchary można przejechać drogą A i dalej do Chiwy drogą G (albo drogą H, albo drogą I, albo drogą J, a więc na cztery różne sposoby). Można również jechać drogą B i dalej drogą G albo H, albo I, albo J. Takie same możliwości wyłonią się przed wędrowcem, który z Samarkandy wyruszyłby w podróż drogą C albo drogą D, albo drogą F.

Z tego zaś wniosek, że z Samarkandy do Chiwy przez Bucharę można przejechać aż 24 różnymi drogami ($6 \times 4 = 24$).

NASZ ZWIERZYNIEC

DZIĘCIOŁ

Dzięcioły, podobnie jak sroki, to nieliczni skrzydlaci mieszkańcy naszych lasów w okresie jesienno-zimowym. Poza Australią i Madagaskarem spotkać je można wszędzie. Jest ich 210 gatunków. Największy z nich, dzięcioł cesarski, żyje w Meksyku i ma długość pół metra. Prawie wszystkie dzięcioły prowadzą nadrzewny tryb życia, gdyż podstawowym ich pokarmem są larwy owadów tkwiące pod korą i w spróchniałych drzewach. Zimą dzięcioły chętnie zjadają nasiona sosny, wydłubując je mocnymi dziobami z szyszek zakleszczonych w ciasnych szczelinach.

W Polsce żyje 9 gatunków dzięciołów, a najbardziej pospolity jest dzięcioł duży oraz zielony. Obserwując sposób zachowania tych pożytecznych ptaków ludzie przypisali im kilka zawodów. Tak więc są lekarzami, bo opukują i... osłuchują drzewa. Opukując pień dzięcioł orientuje się, gdzie i jak głęboko znajduje się larwa, osłuchując to miejsce słyszy jej poruszanie się i narzekania. Larwy wydają głos słyszalny właśnie tylko dla dzięciołów. Do wydobywania owadów służy długi, lepki język, funkcjonujący jak harpun. Dzięcioł jest kowalem, gdy tłucze dziobem w szyszkę. Pod brodą ma fartuszek z piór, do którego wpadają nasionka, ale czasem wiatr powieje i kilka z nich spadnie na ziemię. Wyrosną z nich młode sosenki. Dzięcioł jest budowniczym mieszkań dla ptaków. W obszernych dziuplach dzięciołów gnieżdżą się inne ptaki i drobne ssaki. W zeszłorocznej dziupli dzięcioł nie mieszka. Co roku wykuwa nową. Wszystkie są trwałe, bo solidne. Dlatego też ludzie mający troskę o zachowanie przyrody doceniają trud tych ptaków i bardzo je szanują. Jest jeszcze dzięcioł wspaniałym perkusistą. Wiosną, w porze godowej, przywabia samiczkę uderzając rytmicznie dziobem w odpowiedniej grubości i długości suchą gałąź. Niesie się po lesie dźwięczny werbel — zwiastun prawdziwej wiosny. Czerwone plamy na brzuchu naszych dzięciołów pięknie wyglądają na tle lasu.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4, skr. pocztowa 380 00-950 Warszawa Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 150 zł, półrocznie — 300 zł, rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier roto. 70 g, rola 78 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Zam. 2710/87 D-23
Nakład 300.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

DZIĘCIOŁ

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ